NUMER 26. DNIA 26. CZERWCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Najzimniejszy klimat na świecie 2)

NAPISAŁ
ADAM SZYMAŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

Zobaczmyż teraz, w jaki sposób zimno, jakiego nigdzie niema na świecie wytwarzać się tam może.

Wiadomo powszechnie, że dzięki górom Himalajskim i kilku innym przyczynom całe wnętrze Azji Środkowej ma charakter kraju bezwodnego i wskutek ciągłego potęgowania się następstw tego stanu coraz bardziej obsychającego. Dzięki temu już i centralna Azja posiada klimat wysoce kontynentalny, t. j. klimat, w którym bardzo gorące lato z zimnemi nocami zmienia się w bardzo surową zimę.

Już to jedno spowodowałoby znaczne oziębienie ziem, leżących dalej na północy, ale pomiędzy Azją Centralną i Syberją wznosi się druga olbrzymia przegroda, która pod różnemi nazwami, poczynając od Pamiru jako nieprzerywalny łańcuch górski biegnie aż do cieśniny Beringa, tamując do ziem północno-zachodnich i północnych dopływ nie tyle wilgoci, bo tej z suchej Azji Centralnej nie wieleby wyjść mogło, ile cieplejszych prądów powietrznych. Góry Ałtajsko-Sajańskie są tedy pierwszą bezpośrednią przyczyną niezwykłego oziębienia całej Syberji.

Wiadomo jest dalej, że Europa korzysta nie tylko z ciepłoty słońca, otrzymywanej bezpośrednio, ale i z ciepłoty, nagromadzonej w zwrotnikowych wodach oceanu i dochodzącej do nas dzięki wodom Golfstromu. Dobroczynny ten prąd oceaniczny, skręcając wzdłuż wybrzeży norweskich w kierunku wschodnim w wody oceanu Lodowatego, donosiłby resztki swego ciepła nawet na północne wybrzeże Syberji, gdyby nie przegroda, którą spotyka na swej drodze w postaci wielkiej wyspy Nowej Ziemi. Pomimo to morze Karskie, leżące za Nową Ziemią, jeszcze stosunkowo dość często nie zamarza i dobroczynny wpływ tych często nie zamarzających wód w postaci większych opadów deszczowych i śnieżnych daje się uczuwać w całej północno-zachodniej Syberji.

Wpływ ten, choć znacznie osłabiony, sięgałby i ziemi jakuckiej. Ogromna jednak masa lądu, wysuwająca się najdalej na północ w postaci wielkiego półwyspu Tajmyrskiego, odcina z tej strony ziemię jakucką od tych wpływów dobroczynnych. Jest to druga przyczyna, bezpośrednio wpływająca na większe oziębienie tej ziemi.

Dzięki temu ocean Lodowaty na wybrzeżach ziemi jakuckiej już jest bardzo zimnym i jeżeli nie zamarza zupełnie, co zdarza się bardzo rzadko, to zawsze zamarza bardzo daleko od brzegów. Łagodzące więc wpływy wielkich przestrzeni wodnych z północy są w zimie bardzo słabe i ograniczają się do bardzo nieszerokiego nadbrzeża pasa ziemi. Morze zaś Lodowate, już tu niepomiernie oziębione, wysyła przez cieśninę Beringa potężny prąd oceaniczny, który dochodzi aż do morza Ochockiego, oziębiając i ten zbiornik wody, który ze wschodu mógłby łagodzić jakuckie mrozy. Niezwykle więc niska temperatura wód, okalających ziemię jakucką, jest trzecią przyczyną wielkiego zimna w tej stronie.

Jak gdyby jednak dla ostatecznego zatamowania wszelkiego możliwego oddziaływania nawet ze

strony tych wód oziębionych, wielki pierścień górski, opasujący ziemskie kolisko, którego cząstki stanowią góry Ałtajsko-Sajańskie, za Bajkałem zbiera się w nowe pasmo gór Stanowych i gwałtownie skręcając ku północy i północno-wschodowi, biegnie nad samem pobrzeżem morza Ochockiego, na najbardziej zaś północnej wysokości tego morza oddziela od siebie wielką gałęź górską, która z początku pod nazwą gór Wierchojańskich, później pod innemi, prawie w prostej linji ze wschodu na zachód biegnie wzdłuż oceanu Lodowatego aż do podnóża półwyspu Tajmyrskiego. — Oba te pasma gór Stanowych i Wierchojańskich odgradzają wnętrze ziemi jakuckiej od bodaj najsłabszych łagodzących wpływów mórz najbliższych. Jeżeli zaś do tych gór dodamy pasmo gór Tunguskich, które wychodząc z południowo-zachodniej strony ziemi jakuckiej i ciągnąc się aż do zachodniego podnóża Tajmyru staje znowu ze stron południowo-zachodniej i zachodniej jakby na straży jakuckiego zbiornika chłodu — to razem z poprzedniemi górami otrzymamy pierścień górski, opasujący ze wszech stron ziemię jakucką, jako czwartą przyczynę niepomiernego oziębiania tej ziemi.

Jeżeli do tego dodamy, że cała południowa część ziemi jakuckiej topograficznie przedstawia jedno ogromne płaskowzgórze pospolicie Leńsko-Witymskiem zwane, którego średnia wysokość niemniej niż 3000’ wynosi, to zrozumiemy, że i ta wielka przestrzeń kraju, leżąc w pasie umiarkowanym, latem nie może się nagrzewać odpowiednio do swej szerokości geograficznej i nietylko nie przyczynia się nagromadzaniem letniego ciepła do ogrzewania najbliższych ziem, dalej na północy leżących, ale w jesieni i na wiosnę szczególniej spółdziała ich gwałtownemu oziębianiu. To więc wysokie wzniesienie południowej części kraju jest piątą przyczyną surowości zim jakuckich.

Wyliczonych wpływów starczyłoby, żeby z wielkiego Cypla północno-wschodniej Azji uczynić zbiornik mrozu i zimna; jednakże jakby na spotęgowanie działania tych przyczyn fizyczno-topograficznych zjawia się jeszcze jeden czynnik natury, że tak powiem historycznej, tym nowym szóstym czynnikiem, spółdziałającym wytwarzaniu się tu zimna nieludzkiego, jest: „wiecznie zmarzła ziemia“. Ten odwieczny zabytek epoki lodowej przetrwał do dziś w Syberji. Ciągnąc się jednak bardzo wązkim pasem w najdalej na północ wysuniętych ziemiach Syberji zachodniej, pas ten, poczynając od podnóża tak fatalnego dla ziemi jakuckiej Tajmyru, gwałtownie rozszerza się i spadając ku południowi, obejmuje już cały średni i część górnego biegu Leny, sięgając ziem zabajkalskich i z drugiej dochodząc do dna morza Ochockiego.

Jeżeli temperatura powietrza oddziaływa na t^0 ziemi, to rzecz jasna, że i odwrotne oddziaływanie istnieje. W ziemi jakuckiej, jedynej ziemi na naszej półkuli, nie może być mowy o oddziaływaniu dodatniem. Olbrzymie pokłady „wiecznie zmarzłej ziemi“ toczą tu walkę zawziętą z najgorętszemi promieniami słońca, paraliżując jego wpływy dobroczynne.

Wielki północno-wschodni Cypel Azji, ulegający zgodnemu działaniu tylu potężnych fizycznych czynników, południową swą częścią leży w pasie umiarkowanym na szerokości północnych części Królestwa, północnemi zaś brzegami Tajmyru sięga szerokości południowych brzegów Spitzbergu.

Z włączeniem doń części Tajmyru i ziemi Czukczów, Cypel ten zajmuje przeszło 80 tysięcy mil □ t. j. 4,000.000 kil. □ i we względzie administracyjnym z wyłączeniem wskazanych części tworzy jedną gub. jakucką. Ponieważ na całej tej przestrzeni panuje zwyczaj i obyczaj jakucki, który nie tylko nie zanika, ale rozszerza się we wszystkich kierunkach, przeto słusznem jest, abyśmy cały ten Cypel ziemią jakucką zwali. Ogrom tej ziemi najlepiej się uwydatni, gdy powiemy, że gub. jakucka dzieli się na 5 powiatów, które tak się przedstawić dadzą: Najmniejszy p. Olekmiński równa się Wielkiej Brytanji wraz z Irlandją, p. Kołymski prawie równa się całej monarchji Austro-Węgierskiej, p. Jakucki — Szwecji wraz z Norwegją, pow. Wierchojański jest tak wielki, jak Włochy i Hiszpanja, a piąty Wilujski równa się Francji wraz z Ces. Niemieckim bez ziem polskich.

Ogromne te ziemie dzięki lasom, ręką ludzką nietykanym, zrasza około 2000 rzek i rzeczek i przeszło 100.000 jezior.

Wśród tego mnóstwa wód wewnętrznych pierwsze miejsce zajmuje Lena, „królową rzek syberyjskich“ zwana. Długość Leny wynosi 5000 kil. Delta, którą wlewa swe wody do morza Lodowawatego, zajmuje przestrzeń równą $^1/_4$ części Królestwa, a cały jej zlew zajmuje $2^1/_2$ mil. kil. □.

O wielkości rzeki można sądzić nie z tego, że ma ona około tysiąca dopływów, ale z wielkości tych dopływów, i z tej olbrzymiej masy wody, którą unosi. Lena przyjmuje pięć wielkich dopływów, z których dwa mniejsze, Kirenga

i Oliokma, są tak wielkie, jak Odra, Witym jest większy od Elby — Wiluj zaś i Aldan są dłuższe od Renu. Szerokość głównego koryta już około Jakucka dochodzi do 4 kilometrów, po przyjęciu zaś Adlanu Lena formuje prawdziwe morze wody rzecznej, od 20 do 30 kilometrów szerokie. W całym zaś dolnym biegu, dzięki bardzo wysokim brzegom, rzeka płynie w korycie tylko 4 kil. szerokiem, ale tak głębokiem, że w całym swym dolnym biegu jest dostępną nawet dla niezbyt wielkich morskich okrętów.

Żaden opis nie jest w stanie dać pojęcia o tej wspaniałej rzece, poprzez bezludne pustynie z głuchym szumem toczącej swe zimne wody na północ jeszcze bardziej bezludną. Największe rzeki europejskie w porównaniu z Leną wydają się maluczkiemi a największe syberyjskie przyćmiewa ona jakąś groźną pięknością swych majestatycznych wód i bardzo wysokich skalistych brzegów.

Nie zrozumielibyśmy jednak, czem są mrozy jakuckie, gdybyśmy, mając pojęcie o wielkości, nie mieli należytego pojęcia o bezludności tych obszarów.

Najgorsze warunki znosi się łatwiej, czując w pobliżu obecność istot sobie podobnych. Samotność wobec tak strasznego wroga, obezwładnia, jak tylko więzienie obezwładniać może; jak więzienie bowiem wysysa ze swych ofiar moc i siłę ducha. (C. d. n.)

MARJA JARMUND. 11)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Z powodu pomięszania pojęć, jedni nazwali kiedyś Mickiewicza „poetą zdrady“, a drudzy wysilając swój umysł, żeby go od tego zarzutu obronić, nie zastanawiali się nawet nad tem, że walczą z wiatrakami. Działanie Wallenroda nie jest wcale zdradą, tylko zemstą, a właściwie mówiąc karą, wymierzoną wrogowi. Wallenrod był groźbą rzuconą przez naszego wieszcza w twarz wrogowi, znęcającemu się nad polską młodzieżą w Wilnie, ażeby zadrżał, widząc do czego przemoc brutalna prowadzi. Obrońcy Mickiewicza usiłowali spaczyć myśl, którą on wypowiada wyraźnie i to nie tylko tu, ale i w wielu innych miejscach, a mianowicie że: do obrony każdy środek dobry. Wallenrodyzm nie jest też gorszym od innych. Jeżeli zaś nie cieszy się zbyt dobrą sławą, to tylko z powodu nędzy i słabości natury ludzkiej, która zdoła się czasem wznieść na wyżyny bohaterstwa, ale wytrwać na nich przez całe życie nie może. Zbyt blizkie zetknięcie z wrogiem demoralizuje. Pokusy, jakiemi on otacza, przywodzą najczęściej do upadku i prawdziwej zdrady lekkomyślnych naśladowców wielkiego mściciela. Najczęściej u nas porywały się na tak trudne dzieło charaktery marne i słabe, kiedy Wallenrodem mógłby być chyba nadludzkiej siły bohater, nieugięty i twardy nakształt „nadczłowieka“ Nietzschego.

Dla obrońców cnoty arcydzieło wieszcza było by się może wydało zgodniejsze z etyką, gdyby był przedstawił Wallenroda, jako potulne i posłuszne narzędzie szatańskich wychowawców, którzy porwane z łona rodziny dziecko usiłowali przerobić na mordercę rodziców i zdrajcę ojczyzny, i gdyby w myśl ich zamiarów dziecko to wbijało własną ręką sztylet w serce matki. Ale Mickiewicz dowiódł po wielokrotnie, że ma inne o prawdziwej moralności przekonanie, bo jeżeli Wallenrod mógł podlegać jakiejkolwiek wątpliwości co do istotnego znaczenia wyrażonej w nim myśli, to dalej wypowiada się jasno, gdy mówi, że „Dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło stworzenia“. To samo zaś przekonanie wyraża jeszcze silniej i dobitniej mówiąc:

„Wielki grzech bezbronnego zabić niewolnika;
Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem
Oj kluczniku, odpowiesz ty ciężko przed Bogiem!
Jedna jest restrykcja: jeśli popełniono
Nie z zemsty głupiej, ale *pro publico bono.*

Pro publico bono, wielka zasada ludu rzymskiego, więcej w sobie mieści moralności rzeczywistej, niż sentymentalizowanie na temat obłudnych cnot rozmaitych faryzeuszów. Ten, kto zdolny jest do poświęcenia życia dla dobra ogółu, choćby przytem przekroczył któreś z przyjętych prawideł, wyżej stoi etycznie od nędznego egoisty, trzymającego się ściśle kodeksu. A wprawdzie Chrystus powiedział, że większa będzie w niebie radość z jednego nawróconego grzesznika, niż z 99-ciu sprawiedliwych, ale nigdy nie mówił, że jest obowiązkiem poświęcić

99-ciu sprawiedliwych dla ocalenia jednego łotra. U nas zaś chorobliwy sentymentalizm często kazał poświęcać sprawiedliwych dla ocalenia zbrodniarzy i dla tego upadaliśmy zawsze. Dwóch naszych wielkich poetów wieszczym swym duchem ten narodowy błąd odczuło. Nuta pro publico bono, dźwięcząca we wszystkich utworach Mickiewicza, powtarza się z równą siłą i u Słowackiego, czego „Król duch“ najwymowniejszym jest dowodem.

Mówiąc zaś o nich, nie wolno pominąć zdania, jakie miał w tej sprawie największy nasz bohater i geniusz narodowy Kościuszko: „Nienawiść narodu ku drugiemu — pisze on — jest zawsze z pożytkiem, jak i wielkie rozumienie o sobie“. „Kościuszko bardzo głęboko i gruntownie poznał ułomności polityki polskiej — dodaje Korzon znakomity autor życiorysu wielkiego wodza — czyli raczej źródła niezdarności politycznej swoich współrodaków. Był to brak dumy i ambicji narodowej, „wielkiego rozumienia o sobie“ niewyrobienie indywidualności narodowej, wobec innych narodów „nienawiści narodu ku drugiemu“, a stąd pozwalanie sąsiadom i niesąsiadom, pozornym sprzymierzeńcom, albo jawnym wrogom na wdzieranie się do najważniejszych spraw życia wewnętrznego“.

Wierzmy największemu duchowi, jakiego Polska posiadała, on nas nie poprowadzi na manowce. Nienawiść do obcych byłaby nas ochroniła od wpuszczenia ich do kraju bez walki i bez oporu. Wielkie zaś rozumienie o sobie czyli szlachetna ambicja i duma, jaka naprzykład charakteryzuje Francuzów, nie byłoby pozwoliło znieść spokojnie tyle hańby i wstydu, ile nam serwilistyczne nasze instynkty zgotowały. Kościuszko, wzywając do wzbudzenia w sercach tego słusznego uczucia, próbował zaślepionym ziomkom oczy otworzyć. Ale próżne wysilenia. W sto lat później roi się u nas od ugodowców i trójlojalistów, nienawiść, w której najszlachetniejsze z serc narodowych widziało tarczę, mającą nas uchronić od zguby, usiłują przedstawić jako zbrodnię.

Niedawno przecież, gdy chodziło o zniesienie szkoły niemieckiej w Krakowie, p. Stanisław Tarnowski wystąpił przeciw temu z protestem, dowodząc, że nieszlachetnie byłoby z naszej strony, mścić się za gwałty, popełnione przez Prusaków w Poznańskiem!! Niestety, ileż nędzy moralnej kryje się u nas pod płaszczykiem cnoty.

Ah! jakże by się chciało wołać, widząc w koło ludzi bez siły, bez woli, bez poczucia własnej i narodowej godności, razem z Nietzsche'm: Bądźcie silni — bądźcie twardzi, bracia moi! Choć z drugiej strony wybujały indywidualizm, apostołowany przez niemieckiego filozofa, a stanowiący jedną z naszych nieuleczalnych chorób, równie poważne przedstawia dla nas niebezpieczeństwo. Wolno Nietzschemu unosić się nad przeklętem liberum veto i stawiać je jako wzór, godny naśladowania, zbitej masie junkrów pruskich, podług jednego patrona wykrojonych, gdyż pomimo pochodzenia z polskiej niegdyś rodziny nie zachował on żadnego czucia ze społeczeństwem polskiem i nędze nasza go nie bolały, ale Polak każdy powinien mieć tyle zdrowego instynktu, żeby zrozumieć, że w uleganiu popędom, które już przedtem ojczyznę zgubiły, mieści się dla nas śmiertelna trucizna.

„Gdy się zetkniesz z jakim czynem ludzkim, czy z jakim ruchem, albo projektem społecznym, pisze Prus w swoich „Najogólniejszych ideałach życiowych“, wówczas wysłuchawszy wszystkich frazesów, a to jest: czy będzie piękne, wzniosłe, patrjotyczne, sami siebie zapytajcie, czy i o ile to będzie użytecznem?“

Otóż stosując się do tej utylitarnej metody, na postawione sobie pytanie, o ile działanie w kierunku ugodowym z wrogami jest dla narodu użyteczne, odpowiedź wypadnie zupełnie przeczącą. Nietylko jest ono nieużyteczne, ale złe, szkodliwe, wprost zabójcze, zwłaszcza dla społeczeństwa, które nigdy nie miało siły odpornej i popchnięte w tym kierunku musiało by się stoczyć w przepaść.

Wprawdzie znakomity autor radzi dalej: „We wszystkich zatargach, bądź między jednostkami, bądź między społeczeństwami, należy idei walki przeciwstawić ideę układów, zgodnego porozumienia się. A jak złego ducha trzeba unikać podszeptów tak zwanego „honoru“, który najczęściej jest matką rozbojów, albo zemsty. Układy, zawsze układy do ostatnich granic możliwości... a uczyć cały naród nienawiści jest to zatruwać mu duszę“. — Ale widzieliśmy, że uwielbiany nasz bohater odmiennego był przekonania, więc należy się trzymać jego wskazówek. (C. d. n.)

Ulanów.

(Dokończenie).

W miasteczku są dwa kościoły. Kościół parafjalny pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, drewniany z drzewa sosnowego, trzynawowy, malowany, o oknach drewnianych, położony w południo-

wej części miasteczka, przedstawia się dziś wcale dobrze. Wybudował go śp. Jan Hilary Uliński w r. 1643. (wedle zapisków stał już w tym roku skończony), należał do r. 1685 do parafji we wsi Bieliny. W tym roku eryguje X. biskup krakowski, Jan Małachowski, parafję w Ulanowie, jako filję do Bielin.

Ołtarz wielki w tym kościele jest gustowny, wystawiony w r. 1760 z dobremi rzeźbami, a prócz dwóch starożytnych chorągwi z obrazami na blasze tłoczonymi, nie ma nic nadzwyczajnego.

Drugi kościółek w stylu barocco, dawniej za miastem, dziś w śródmieściu, choć na tem samem miejscu leżący, pod wezwaniem św. Trójcy, drewniany, o dwóch wieżach, wybudowany został przez familję Zamojskich w r. 1690, — zaś konsekrowany w r. 1692.

Ołtarz w nim jest fundacji Elżbiety z Wiśniowieckich Zamojskiej, córki króla polskiego, Michała Wiśniowieckiego.

Sam kościółek niewielki, stojący na cmentarzu, robi nadzwyczaj miłe wrażenie, a cmentarz to także równy staruszek, rówieśnik kościółka.

Tu od przeszło półtrzecia wieku chowają zmarłych, tu leżą pod cichym szumem drzewek i weterani zapasów z caratem.

Mówiąc o kościółkach, poświęcić należy słów parę i starym zapiskom. Są oryginalne erekcje jednego i drugiego kościoła; są metryki, zaczynające się od r. 1658; jest „Liber Memorabilium“, bardzo cenna książka pamiątkowa; są wreszcie akta cechów starożytnych czyli bractw kanonicznie erygowanych a to N. P. Różańcowej z r. 1647 i św. Barbary z r. 1730. Ostatnie bractwo zwało się też flisackie i jest dotychczas z wielkim pietyzmem konserwowane a do niego należą wszyscy bez wyjątku.

Dawniej był w miasteczku szpital ubogich, erygowany w Ulanowie przez Józefa Ulińskiego. Na szpital ten zapisał bogaty mieszczanin tamtejszy Marcin Szajwaj, w r. 1688, kapitał 4000 zł. polskich i różne grunta; dziś jakoś jest tylko kapitału 400 koron.

I wiele się dziś zmieniło; i rzeka płynie nieco innem korytem i miasto przybiera powoli za rządów teraźniejszego burmistrza p. Dąbrowskiego, po kilkurazowem spaleniu się, wygląd regularnie zabudowanego miasteczka, lecz mimo tego czegoś smętno, czegoś tęskno.

Czegoś brak, dusza widza czuje oddźwięk dawnego życia, które zda się mówić do przechodnia:

„Tułaczu Polaku! pozostań tu chwilę,
„Zaczerp natchnienia, a te cnoty złote
„Co się tu zrodziły — owioną cię mile,
„Ukoją twój smutek — odejmą tęsknotę“.

Karol Notz.



Poglądowa mapa widowni wojny wraz z wyspami japońskiemi i półwyspem koreańskim.

GABRJEL d'ANNUNZIO.

Ostatnie dni Kandji.

(Dokończenie.)

„Marsz!“ rzekł groźnie do praczki.

Milcząc, poobcierała Kandja ręce i zaczęła się wybierać. Na placu została jeszcze ciekawa gawiedź, a Rózia Panera, nieprzyjaciółka Kandji, poczęła się śmiać się okrutnie; stojąc w progu swoim, zawołała:

„Teraz wyjdzie szydło z worka!“

Przestraszona praczka, nie rozumiejąc o co chodzi, szła w milczeniu; nie mogła bowiem słowa wydobyć ze siebie.

Przed urzędem gminnym stała gromada ciekawych, którzy ją zobaczyć chcieli. Kandja z gniewem szła po schodach, a wpadłszy do kancelarji burmistrza, zapytała groźnie niemal;

„Czego pan chce odemnie?“

Spokój miłujący don Sila, oburzony szorstkim tonem Kandji, spojrzał po obu wiernych stróżach jego naczelnej mości, lecz wnet uspokoił się i zażywszy tabaki, rzekł:

„Siadaj, moja kochana!“

Kandja nie ruszyła się. Tylko nos jej obrzmiały poczerwieniał, a sine usta trząść się zaczęły. Stała tak z zaciśniętymi zębami, gotowa do kąsania.

„Don Si proszę powiedzieć“...

„Odnieśliście wczoraj bieliznę donnie Lamonica?“

„No! I cóż z tego? Co z tego? Czy brakuje czego? Przecież porachowano wszystko, każdy kawałeczek! Nic nie brakowało?

Czego chcecie odemnie?“...

„Chwileczkę moja kochana! W pokoju były także srebra“...

Zmiarkowawszy coś nareszcie, jak wściekły jastrząb rzuciła się Kandja naprzód; usta jej wązkie drżały, jak w febrze.

„Srebro było w pokoju, a donna Krystyna przekonała się, że jedna łyżka przepadła... Rozumiesz teraz, moja kochana? Możeś ją przypadkiem tylko wzięła, może się tak zaplątała?“...

Jak konik polny skoczyła Kandja na to niesprawiedliwe oskarżenie. Była niewinną.

„Ja? ja? Kto to śmie mówić? Kto to widział? Jak pan to może mówić Don Si! Ja złodziejka? Ja? Ja?...“

Była do żywego poruszoną, a posądzenie tem mocniej ją oburzało, że w sumieniu swem nie czuła się całkiem wolną od pociągu do cudzych rzeczy; tym razem jednak właśnie była niewinną.

„A więc nie wzięliście?“ przerwał don Sila, zagłębiając się przezornie w swojem prezydjalnem krześle.

„Dziwię się panu doprawdy“. Zaczęła znowu kobieta, wyciągając swe długie, jak dwa kije, ręce.

„Dobrze! Możecie odejść. Zobaczymy“.

Nie kiwnąwszy nawet głową, Kandja obróciła się i wpadła na schody. Kiedy po nich przeleciała, sama nie wiedziała. Nieprzytomna, zielona ze złości, pędziła przez ulice; lecz widząc tłum ludzi, którzy jej się przypatrywali, pojęła, że nigdy może nie zdoła zrzucić z siebie strasznego posądzenia. Kto uwierzy w jej niewinność? Mimo to, stanęła i zaczęła głośno wykrzykiwać, dowodząc swej niewinności. Tłum, śmiejąc się, rozstąpił się przed nią. Zrozpaczona, dusząc w sobie wściekłość całą, szła do domu. Dopiero na progu swoim zaczęła łkać straszliwie.

Don Donato Brandimarte, jej sąsiad, dociął jej jeszcze szydersko:

„Trzeba głośno płakać, głośniej, głośniej! Idą ludzie, niech słyszą“.

Dopiero na widok bielizny i prania swojego, którego dziś dokończyć musiała, zaczęła się uspokajać. Zakasawszy rękawy, zabrała się znów do roboty. Lecz ciągle myślała o swojej niewinności, przemyśliwała nad tem, jak ma się bronić, jak ma niewinność swą wykazać. Różne — w przekonaniu jej — bardzo zręczne zwroty przechodziły jej przez głowę, najdosadniejsze wyrażenia gminne cisnęły jej się na usta; nimi miała przekonać wszystkich niedowiarków.

Skończywszy wreszcie robotę, wyszła. Najpierwej udała się do donny Krystyny, lecz ta nawet nie chciała wyjść do niej. Marja Bisaccia, kiwając głową, wysłuchała jej gadania, lecz nie odpowiedziała nic. I tak skończyło się posłuchanie. Zaczęła więc Kandja obchodzić swoje znajome. Każdej zdarzenie opowiadała, wykazywała swą niewinność, przedstawiając coraz to nowe dowody, które jej na myśl przychodziły.

Lecz cała, coraz żarliwsza jej wymowa nie robiła wrażenia; Kandja widziała, że nikt jej nie wierzy. Czuła, że nic jej nie pomoże. Umysł jej zgnębiony, nie znajdował już żadnego argumentu. Cóż miała mówić! Co miała robić?

Tymczasem donna Krystyna Lamonica posłała po wróżkę Cynigię. Była to prosta kobieta, która jednak z powodzeniem uprawiała swe rzemiosło. Często też za jej pomocą odnajdywały się zaginione lub skradzione rzeczy. Opowiadano także, że bywała w zmowie ze złodziejami.

„Zrób tak, żeby się łyżka znalazła, a dostaniesz odemnie dobre wynagrodzenie“, rzekła Donna Krystyna.

Cynigia odrzekła: „Dobrze. Łyżka się znajdzie do 24 godzin“!

Za 24 godzin przyniosła też odpowiedź:

„Łyżka jest w dziurze, na podwórzu, koło studni!!

Donna Krystyna z Marją pospieszyły na podwórze, gdzie też pełne zdumienia, znalazły rzeczywiście łyżkę w dziurze, obok studni.

I znów poszła wieść po całej Peskarze. Przechodząc ulicami, Kandja tryumfowała. Zdawało się, że urosła. Z głową podniesioną w górę, śmiejąc się, patrzyła przechodniom w oczy, jakby chciała powiedzieć:

„A widzicie!... A widzicie!“

Niestety! z otwartych drzwi sklepowych, skąd widziano jej postać pełną tryumfu, padły znów pierwsze słowa powątpiewania. Filippo La Selvi, który właśnie zapijał się wódką w kawiarni Angeladea, skinął na Kandję.

„Szklankę dla Kandji!“ zawołał.

Kobieta, która nie gardziła trunkiem, złożyła usta, jakby odczuła już posmak jakiś miły.

„Dobrześ się spisała, trzeba ci przyznać“ — dodał Filippo La Selvi.

Cała zgraja próżniacza, zaciekawiona, ożywiła się nagle.

Kandja pociągnęła, a pan Filippo La Selvi, zwracając się do obecnych i klepiąc Kandję po jej chudych plecach, rzekł:

„A to sprytna, nieprawdaż? Szpakami karmiona.“

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Magnafawe, garbaty, nędzny człeczyna, złożywszy na krzyż palce swe wskazujące, zaczął się jąkać:

„Ka... ka... ka... Kandja... i... i... i Cynigia... ciągnął, zachłystując się chytrze i mrugając znacząco.

Wszyscy pokładali się ze śmiechu. Zrozumieli, że Kandja a Cynigia to chyba jedna ręka.

Kandja stała przez chwilę w osłupieniu, ze szklanką w ręce.

Wreszcie zrozumiała. Jeszcze i teraz nie wierzą w jej niewinność. Oni myślą pewnie, że ona z Cynigią była w zmowie, a przestraszona przyniosła tajemnie i podrzuciła łyżkę.

Naraz wściekłość ją ogarnęła. Nie mogąc słowa wydobyć z siebie, rzuciła się na garbusa i zaczęła go gwałtownie okładać kułakami. Tłum ryczał z uciechy. Jakby walczące z sobą bestje dzikie na arenie, podjudzał zapaśników.

Magnafawe, przerażony nagłym napadem, uderzeniami, co jak grad spadły na niego, prędko tył podał, a wmieszawszy się w tłum, zaczął biegać, jak szalony, kryjąc się za plecami drugich. Wreszcie przewrócił się.

Pospieszono mu na pomoc. A Kandja, odprowadzona gwizdem i okrzykami, odeszła do domu. Tam zamknąwszy się, rzuciła się na łóżko i zaczęła kąsać swe własne ręce, w gniewie bezsilnym. Nowe oskarżenie odczuła jeszcze bardziej, niż poprzednie i to tem bardziej, że czuła się zdolną do takiej sztuczki, po spełnieniu złego czynu. Czemże udowodni teraz, że jest niewinną? Jak dowiedzie prawdy?

Z przerażeniem obliczyła, że nie było żadnych przeszkód, któreby mogły nie pozwolić jej na spełnienie czynu. Przystęp do podwórza wolny był dla każdego. Brama wiecznie otwarta prowadziła na schody, a ludzie kręcili się tu ciągle. Przy każdem zamiataniu, wynoszeniu śmieci, przy każdej robocie trzeba było tędy przechodzić. Czyż mogła zatem powiedzieć: „Jakżeż ja tu wejść mogłam?! Wszystkie okoliczności przeciw niej przemawiały, rzecz przedstawiała się całkiem jasno dla każdego.

Wytężając umysł, znalazła wreszcie kilka nowych i dobrych nawet argumentów, które przemawiały zatem, że łyżka już przed całą tą historją mogła być ukradzioną. Zaczęła więc znów obchodzić domy i z żarliwością ostatniego wysiłku przekonywać niedowiarków. Lecz ludzie bawili się tylko jej gadaniem. Czasem przyświadczali jej niby, lecz Kandja czuła, że trud jej był daremny. Nikt jej nie wierzył!

Z godną podziwienia wytrwałością rozpoczynała jednak na nowo kampanję. Po nocach przemyśliwała nad sposobami obrony, wymyślała dowody i nowe okoliczności, które jej bezustannie naprowadzała myśl jej, z wytężeniem pracująca.

Jedna myśl owładnęła jej umysł, który też słabnąć począł pod jej naporem. Całe życie zewnętrzne przestało ją obchodzić, tylko myśl o łyżce chodziła za nią bezustanku. Okrucieństwo, z jakiem przypominano jej jeszcze fakt nieszczęsny, doprowadziło ją w końcu do obłędu. Nie mogła już nawet zarabiać praniem. Coraz gorzej prała, gubiła bieliznę, darła ją. Potok pod mostem żelaznym, w którym praczki prały, porywał bieliznę z pomiędzy palców Kandji i unosił. A ona ciągle mówiła o łyżce. Gdy rozpoczynała gadanie, młodsze praczki, którym już tego było za dużo, zaczynały spiewać, układając różne piosenki, odnoszące się do „łyżki“. Kandja krzyczała i jak szalona rzucała się na nie.

Przestano jej dawać bieliznę do prania. Czasem tylko z litości przysłał jej ktoś coś do zjedzenia. Tak przyzwyczaiła się do żebrania. Gdy szła przez ulice, zgięta we dwoje, obdarta, złachmaniona i wyniszczona, ulicznicy wrzeszczeli za nią: „Hej, cirociu Kandjo! Ciociu Kandjo! Opowiedz nam historję o łyżce, bo my jej jeszcze nie słyszeli“. Czasem Kandja zatrzymywała przechodzących i opowiadała swe dzieje, dowodząc niewinności. Czasem też zatrzymywali ją rzezimieszkowie, którym za jednego solda musiała opowiadać kilka razy rzecz całą. Ci zastanawiali się nad sprawą, trudną do udowodnienia, roztrząsali jej obciążające i uniewinniające okoliczności, a potem obojętnie odchodzili, nie rzuciwszy Kandji słowa pociechy, nie wyraziwszy przypuszczenia, że mogła być niewinną. Ona też spuszczała głowę i szła dalej. Między żebraczkami podnosiła sprawę na nowo, nieustannie, niezmordowanie. A najlepiej jej było z jedną głuchą, kulawą i trędowatą żebraczką.

W zimie w r. 1874 zachorowała; dostała silnej gorączki. Wtedy trędowata stała się jej opiekunką, a dona Krystyna Lamonica przysłała jej zupy bardzo dobrej i garnek z żarzącymi węglami.

Wyciągnięta na łóżku Kandja bredziła, mówiła ciągle o łyżce, lecz nie mogła już dobrze ruszać rękami, jak to zwykle czyniła, gdy chciała się wyrazić dobitnie. Trędowata brała jej ręce i układała na posłaniu. A kiedy w rozszerzonych źrenicach konającej odbił się strach przedśmiertelny, z głębi jej wnętrzności dobył się głos, niby bulkotanie wody, dobywającej się z głębiny. Zabełkotała jeszcze:

„Ja nie wzięłam proszę pana — widzi pan — bo łyżka...

Tłum. *Zetes.*

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Bem Antoni Gustaw.* Studja i szkice literackie. Wydanie pośmiertne ze słowem wstępnem Ignacego Chrzanowskiego. Warszawa. 1904. Nakład Księgarni naukowej. 8-ka wielka; str. 316. Bem, tak mało znany i mało piszący, odznaczał się w swojej działalności pisarskiej ogromnem umiłowaniem prawdy. Obok logiki w rozumowaniu wymagał samodzielności w badaniach naukowych i śmiałości sądów. Szablonu w krytyce literackiej i naukowej nienawidził. Od utworów znowu literackich, wymagał przedewszystkiem i zawsze prawdziwego piękna, bez względu na to, czy idea zawarta w tym utworze była mu miłą, czy niemiłą, pożyteczną lub szkodliwą. Poezji tendencyjnej, pisanej świadomie w tym lub innym celu nie znosił, widząc w niej nadużycie sztuki. Od utworów poetyckich żądał przedewszystkiem, oprócz szczerości, natchnienia, dobrej kompozycji itd. — prawdy artystycznej, oraz harmonji pierwiastków artystycznych.

Temi zasadami kierował się zawsze podczas pisania swoich studjów i krytyk, które też odznaczają się ścisłością i sumiennością w badaniach, a nadto z góry obmyślanym, przejrzystym układem i systematycznością wykładu. Ważnych odkryć one nie przynoszą wprawdzie. Brak im szerszego tchnienia, rozleglejszych widnokręgów. Drobnostkowa analiza przeważa w nich stanowczo nad syntezą. Natomiast zdołał Bem sprostować niejeden błędny szczegół, bądź też rzucił na niejedno zupełnie nowe światło.

Omawiany tom nie zawiera całej puścizny literackiej Bema, jeno rzeczy najlepsze. Mamy więc tutaj studja o Grzegorzu z Sanoka, o Trembeckim, Bohdanie Zaleskim, Towiańskim, Bełcikowskim, Asnyku, Pługu, Orzeszkowej, omówienie „Wizerunku“ Rejowskiego, oraz dwie prace, obejmujące szerszy zakres czasu, a mianowicie: „Echa messjanistyczne w literaturze polskiej“, „Obywatel polski z doby romantyzmu“ i „Śmielsze błyski humoru satyrycznego“.

S-i.

NOTATKI. *Okopy św. Trójcy.* Kościółek w t. z. okopach św. Trójcy, który do niedawna przedstawiał obraz zupełnej ruiny został obecnie staraniem Mieczysława hr. Borkowskiego odrestaurowany i w dniu 3. lipca br. zostanie konsekrowany. Na uroczystość tę wybierają się trzej arcybiskupi lwowscy. Okopy św. Trójcy zamykają, jak wiadomo, małe i liche miasteczko nazwiskiem „Okopy“ w powiecie borszczowskim na najdalszym, wschodnim cyplu Galicji, między Dniestrem i Zbruczem. Fortyfikacje te powstały za czasów Jana Sobieskiego, w celach nieustającej blokady Kamieńca Podolskiego, który znajdował się podówczas w ręku Turków, a wykonane zostały pod okiem Marcina Kąckiego, generała artylerji koronnej. W latach 1693—6 twierdza ta dobrze się dała uczuć Turkom, wśród nieustannych codziennych prawie bojów i utarczek z załogą Kamieńca Podolskiego. W r. 1699 z odzyskaniem Kamieńca upadło znaczenie Okopów św. Trójcy, ktore dopiero w ostatnich latach bytu politycznego Polski w czasach konfederacji barskiej, przypomniały się światu krwawym epizodem. Znalazł tutaj kilkumiesięczny przytułek Kazimierz Pułaski z kilkuset Barszczanami, póki nie wyparły go stąd w r. 1769 kilkakroć silniejsze wojska moskiewskie, po zaciętej, bohaterskiej obronie. Większość konfederatów uratowała się śmiałą, karkołomną wycieczką w nocy ku spadzistym brzegom Dniestru, nie wielu tylko dostało się do niewoli, część zaś, broniąc się do upadłego, zginęła w gruzach spalonego kościółka, który dopiero teraz został odnowiony. Bramy przejazdowe dawnych fortyfikacji zostały z polecenia Wydziału krajowego odrestaurowane.

Z drukarni W A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.